

ROZDZIAŁ 17

Crime of the Century

Po triumfie, jakim był koncert z okazji reaktywacji i płycie koncertowej wydanej w 1997 roku, sprawy w zespole nigdy nie przybrały pozytywnego obrotu, może poza samym faktem, że znowu byliśmy razem. Odzyskanie kontaktu z chłopakami zawsze będzie dla mnie plusem tej całej sytuacji, ale wszystko, co otaczało tę reaktywację, było po prostu źle zrobione. A patrząc na to realistycznie, nawet nie wiem, czy dało się do zrobić dobrze. Bo gdybyśmy faktycznie mieli to zrobić dobrze, musielibyśmy być znacznie bardziej czysti niż wówczas byliśmy – prawda jest taka, że byliśmy w o wiele gorszym stanie niż na samym początku. To był, kurwa, gotowy przepis na katastrofę. A ta katastrofa zdawała się podążać za nami, gdziekolwiek akurat zmierzaliśmy.

Po wielu miesiącach spędzonych w trasie po Stanach i Europie w 1997 roku, które na niewiele nam się zdały, w 1998 roku skupiliśmy się na Ameryce Południowej – kontynencie, na którym wcześniej zagraliśmy zaledwie parę razy. Ale tam ludzie faktycznie chcieli nas oglądać, nie tak, jak w pieprzonym Boise czy pierdolonym Lawrence w Kansas, gdzie graliśmy przed pustą salą. Koncerty w Ameryce Południowej bukował nam mój dobry kumpel, Matthias Prill, którego poznaliśmy jeszcze w 1985 roku podczas europejskiej trasy z Venom, więc przynajmniej mieliśmy pewność, że mamy w kimś wsparcie. I bardzo dobrze, bo sami niespecjalnie skupialiśmy się na celu. Kiedy akurat nie ćpaliśmy, bo nie mieliśmy co ćpać, piliśmy alkohol, bo tego zawsze było w nadmiarze. Zazwyczaj jednak jedno szło w parze z drugim, a kiedy byliśmy w Ameryce Południowej, kurwa, piliśmy dosłownie na umór. Non stop imprezowaliśmy – impreza była dosłownie każdego dnia.

W niektórych miejscach bardzo łatwo było dostać kokainę. Nie był to nasz ulubiony narkotyk, po który zazwyczaj sięgaliśmy, ale zawsze mieliśmy przy sobie alkohol, a jeśli ktoś przy okazji przynosił kokę, to ją też braliśmy. A co tam, jebać to. To był nasz pierwszy raz, kiedy występowaliśmy jako gwiazda wieczoru przed południowoamerykańską publicznością i ci ludzie byli, kurwa, szaleni. Zresztą do dzisiaj tacy są. No i na koncercie zawsze znajdzie się ktoś z racą.

Po tygodniu grania w Brazylii, w marcu wróciliśmy do Bay Area, abym mógł być w domu przy narodzinach Sophie, mojej drugiej córki. To było niesamowite – być tam i widzieć, jak się rodzi, zwłaszcza że ominęły mnie narodziny Chelsea, bo w 1992 roku byłem akurat w trasie z Black Sabbath. Będąc już ojcem od sześciu lat (i dumnym członkiem rady rodziców), byłem o wiele lepiej przygotowany na narodziny Sophie, ale nie wiem, czy byłem wtedy najlepszym rodzicem i mężem. Sama moja obecność nie wystarczała, by nim być. W latach dziewięćdziesiątych dość ostro już ćpałem, choć nadal w pewnym sensie ukrywałem to przed rodziną. Moja była żona pewnie by się nigdy nie dowiedziała o skali tego uzależnienia, gdyby nie przeczytała tej książki. To było ćpanie po kryjomu. Ale chyba dobrze się z tym kryłem, bo gdybym to robił na widoku, byłoby tysiąc razy gorzej, przynajmniej w domowym zaciszu. To kolejny element mojego poczucia winy, które do dziś dźwigam jak krzyż.

Po reaktywacji zespołu, w składzie z *Bonded* graliśmy już od ponad roku. Zagraliśmy koncerty w Europie, Ameryce, Meksyku i Ameryce Południowej, więc następnym logicznym krokiem powinno być skomponowanie nowych kawałków i nagranie albumu, prawda? Owszem, rozmawialiśmy o tym, ale w trakcie reaktywowania Exodusu reaktywowaliśmy także i wzmocniliśmy każdy nałóg i zwyczaj związany z braniem dragów, jaki mieliśmy też w dawnych czasach, tyle że teraz odbywało się to na zupełnie innym poziomie. Kiedy zeszliliśmy się pod koniec 1996 roku,

uzależnienie Ricka od mety postąpiło do tego stopnia, że ostatecznie zaczął ją palić. Jako kumpel po fachu (i taki sam ćpun), nie zamierzałem go oceniać. Bo jakie miałem do tego prawo? Wtedy ja tylko wciągałem (tak samo reszta zespołu, oprócz Jacka), ale pewnego razu, gdy byłem u niego w Berkeley i on akurat palił, powiedziałem: „Daj mi spróbować”. Podał mi lufkę, wziąłem bucha i gdy wypuściłem dym, powiedziałem: „W sumie to mógłbym się do tego przyzwyczaić”. Słynne ostatnie słowa: „Mógłbym się przyzwyczaić do palenia metamfetaminy”. No i się, kurwa, faktycznie przyzwyczailem. I to bardzo się przyzwyczailem, choć nie od razu przerzuciłem się tylko na palenie. Ale wpędziło mnie to na równię pochyłą. Była to moja własna spirala śmierci.

Tak więc owszem, prowadziliśmy mnóstwo poważnych dyskusji na temat stworzenia nowego albumu, bo ćpuny tak właśnie robią: tylko mówią o tym, co będą, kurwa, robić. Zrobię to. Skomponuję materiał na album. Załatwię nam, kurwa, nowy kontrakt na nagranie płyty. Takie gadanie, z którego nigdy nic nie wychodzi. Tak oto z muzyka, który eksperymentuje z dragami, stajesz się ćpunem, który eksperymentuje z muzyką. W psychologii mówią na to „projekcja”, bo wiecznie jesteś w jakimś procesie tworzenia, a nigdy niczego nie kończysz. Exodus zaś stał się największym projektem na świecie, z którego wynikło jedno wielkie gówno.

Zjawiałem się w naszej sali prób, która zresztą mieściła się w tym samym magazynie, w którym mieszkał Baloff, i spędzaliśmy tam mnóstwo czasu. Ale jak to typowe ćpuny, nie robiliśmy nic. Zawiesiliśmy jedynie nasze nagłośnienie pod sufitem, żeby wyglądało zajebiście i tyle. Czy my w ogóle się do niego podłączaliśmy? Nie. Ale wiele godzin poświęciliśmy na to, żeby to „jakoś wyglądało”. Postawiliśmy nawet podest pod perkusję. Ale czy przećwiczaliśmy chociaż raz setlistę? Nie. Grałem parę riffów i szedłem się ućpać. Tak to u nas wtedy wyglądało. Nigdy niczego nie napisaliśmy, może jedynie parę riffów, a potem wracaliśmy do ćpania. To od początku było skazane na porażkę. Kiedy 4/5 twojego zespołu

chce się tylko naćpać, naprawdę gówno zdziałasz. Twoja kreatywność jest zduszona, martwa, uśpiona. Rozmawialiśmy o stworzeniu nowego materiału, ale swoim zachowaniem sami rzucaliśmy sobie kłody pod nogi. Ja, Rick, Baloff i Tom byliśmy ciągle na haju, tylko Jack nie ćpał. Nagranie nowego materiału nie miało prawa się wydarzyć, dopóki narkotyki nie zostały usunięte z tego równania.

Wtedy tego jeszcze nie wiedzieliśmy, ale ta krótka seria koncertów w Ameryce Południowej w grudniu 1998 roku miała być ostatnimi występami, jakie zagramy jako zespół przez wiele lat. Ale cóż, zakończyliśmy to z wielkim hukiem. Pierwszy koncert miał miejsce w Chile, gdzie niestety przed samym klubem nasz fan wpadł pod autobus i zginął na miejscu. Był to dość złowieszczy (i tragiczny) początek, ale w pewnym sensie pasował on do chaosu, który zdawał się za nami ciągnąć. Przed tym koncertem kręciliśmy się po Mercado Central. Jest tam taka knajpka z owocami morza, Donde Augusto, do której zawsze zaglądam, gdy tylko tam jestem (najlepsze owoce morza na świecie!). A u rzeźnika znaleźliśmy obdarty ze skóry łeb kozy. Oczywiście musieliśmy go kupić. Nazwaliśmy go Brutus i nosiliśmy go ze sobą, a następnego dnia zabraliśmy go na koncert. Ponieważ linie lotnicze zgubiły nasze graty, musieliśmy grać na sprzęcie pożyczonym od chilijskiego zespołu o nazwie Criminal. Jak się okazało, klub, w którym odbywał się koncert, był prowadzony przez jakichś gangsterów. Kiedy siedzieliśmy w hotelu, dowiedzieliśmy się, że gość organizujący tę imprezę nie zamierza nam zapłacić. Matthias rozmawiał z nim, wskazując na nas palcem: „Patrz, oni piją. Niedługo nie będą w stanie wejść na scenę. Lepiej wyduś z siebie tę pieprzoną kasę”. W końcu jakiś wyższy rangą gangster wkroczył do gry i kazał gościowi nam zapłacić.

Tak więc pojawiliśmy się i zagramy ten koncert. Graliśmy na cudzym sprzęcie, a ja, kurwa, wywijałem tą gitarą, trzymając ją tylko za wajchę. Biedny facet, który mi ją pożyczył, pewnie patrzył i tylko czekał, jak jego kupiony za ciężko zarobione pieniądze

sprzęt zaraz pęknie na pół. Na zestawie Ricka, stacku, na scenie siedziała jakaś pijana laska – nawet nie wiedzieliśmy, kim jest. Po prostu weszła na scenę i tam usiadła, totalnie nawalona. Ochrona nic z tym nie robiła, w ogóle mieliśmy wrażenie, jakby nie istniała. Baloff nazwał ją „Half Stack”. [„Stack” to wzmacniacz i dwie duże kolumny głośnikowe, postawione jedna na drugiej, a „half stack” to zestaw składający się ze wzmacniacza i tylko jednej kolumny – przyp. tłum.] Krzyczał więc do niej: „Ej, ty, Half Stack, dajesz czadu!”. W pewnym momencie Baloff wykopał w tłum Brutusa – tę głowę kozy, która leżała poza lodówką przez co najmniej dobę. Wtedy najwyższy gość w klubie – oczywiście, musiał to być facet mający z dwa metry wzrostu – dorwał to trofeum i zaczął z nim biegać po moshpicie. To było, kurwa, genialne. W ogóle my tam tylko imprezowaliśmy i dobrze się bawiliśmy. Nie zarabialiśmy żadnych pieniędzy. Chcieliśmy tylko grać koncerty i się nawalić. Nic innego nas nie obchodziło.

W 1999 roku Exodus właściwie znowu zniknął. Nie rozpadliśmy się, nie zawiesiliśmy działalności, po prostu przestaliśmy funkcjonować. Byliśmy mniej zespołem, a bardziej bandą ćpunów uzależnionych od mety i choć uwielbialiśmy grać koncerty, jeszcze bardziej uwielbialiśmy ćpać. W tamtym czasie mnóstwo ludzi w naszym małym ćpuńskim kręgu już paliło towar i mało kto go jeszcze wciągał nosem. Wszyscy palili. Wyciągali swoje lufki, żeby zająrać (mówiliśmy na nie „bubblers”), a pewnego dnia pomyślałem: „Dobra, kiedyś mi to podeszło. Spróbuję”. Zanim się obejrzałem, prosiłem ich, żeby podali mi sprzęt, żebym mógł sobie wrzucić trochę mojego towaru. Potem już sam nabijałem własną lufkę. Od tamtej pory ćpałem tylko w taki sposób i jeśli cokolwiek wciągałem nosem, robiłem to tylko wtedy, gdy nie mogłem znaleźć lufki lub żarówki.

No, ćpuny palące metę potrafią wykazać się kreatywnością, jeśli jest taka potrzeba. Razem z Rickiem zrobiliśmy lufę z żarówki na zapleczu podczas koncertu w Los Angeles. Wykręciliśmy żarówkę

z lustra w garderobie, nacięliśmy ją, usunęliśmy metalowy gwint i całą zawartość, a z wieszaka na ubrania zrobiliśmy podstawkę. Potem użyliśmy tej żarówki jako jebanego kociołka do palenia mety. W wersji minimalistycznej potrzebowałem jedynie kawałka folii aluminiowej i długopisu Bic. Wyciągałem wszystko ze środka długopisu, zostawiając tylko plastikową rurkę, i w ten sposób wdychałem dym z podgrzewanej na folii mety. Każdy sposób był dobry. Musiałbym naprawdę nie mieć już żadnej innej opcji, żeby znowu wciągać to nosem.

Moje coraz częstsze ćpanie mety wcale nie pomagało mojemu i tak już kruchemu małżeństwu, co wcale nie dziwi. Łatwiej było mi się ukrywać, gdy tylko od czasu do czasu coś tam wciągałem, na przykład, gdy żony nie było w mieście. Kupowałem woreczek za dychę i nic się nie działo. Ale w tym momencie byłem już na prostej drodze do pełnowymiarowego, totalnego nałogu. Kurwa, to gówno cię po prostu dopada, chwyta za gardło i nie chce wypuścić. Ale nawet gdy już paliłem, robiłem co mogłem, żeby utrzymać to w tajemnicy. Gdy nadchodziła noc, udawałem, że śpię – na przykład, kładłem się na kanapie i zamykałem oczy, ale tak naprawdę ani na chwilę nie zasypiałem. Czuwałem, dopóki nie usłyszałem, że ktoś wstaje, i wtedy się kładłem, udając sen. To było zwodnicze, kurewsko nieszczerze i do bani. Poczucie winy znowu podchodziło mi do gardła jak żółć.

W domu starałem się przynajmniej zachować pozory normalności ze względu na rodzinę. Wyprowadziliśmy się z wynajmowanego domu w El Sobrante i kupiliśmy nasz pierwszy dom w Sacramento. Właścicielem był przyjaciel rodziny i w zasadzie zgodził się na opcję najmu z możliwością wykupu. Ponieważ nie grałem wtedy żadnych koncertów, zatrudniłem się w firmie budowlanej za piętnaście dolarów za godzinę. Na co dzień mój nałóg domagał się ode mnie ciągłej uwagi, ale to moje pokątne palenie nie dawało mi już tyle haju, co raczej pozwalało utrzymać się w stanie jako takiej równowagi. Nawet nie czułem się jakoś specjalnie naćpany i nie

wyglądałem, jakbym taki był. Pałem tylko po to, by w ogóle normalnie funkcjonować. Byłem w biurze codziennie i nikt się nie zorientował. Po pewnym czasie meta stała się dla mnie jak pieprzona kawa. Miałem kumpli, którzy byli już totalnie uzależnieni, a każdej nocy normalnie kładli się spać. Budzili się, zapalali lufkę, szli do pracy, a potem kładli się spać. Jak widać, to może stać się czymś całkiem normalnym.

Choć w tamtym czasie mogło mi się wydawać, że skutecznie zacieram ślady, moje małżeństwo mocno na tym cierpiało. Miałem już na koncie zdrady, a jako narkoman nie byłem najlepszym mężem i ojcem. To ja sam rozbiłem swoją rodzinę. Kiedy się rozstaliśmy, ona dostała dom, a ja, w wieku trzydziestu sześciu lat, wprowadziłem się z powrotem do rodziców.

Tak więc wróciłem do San Pablo.